

A. CONAN DOYLE.

Sprawozdanie Johna Habakuka Jephsona.

(Przekład z angielskiego).

W miesiącu grudniu roku 1873, przybył do Gibraltaru okręt angielski „Dei Gratia”, holując opuszczoną brygantynę „Maryę Celestynę”, napotkaną pod 38°40' długości geograficznej. Szeręg szczegółów w związku ze stanem i wyglądem tego opuszczonego statku, stał się w owym czasie powodem rozlicznych komentarzy i wzbudził ciekawość, która nigdy nie miała być zaspokojoną. O szczegółach tych rozpisano się drobniawo w artykule, który drukowała „Gazeta Gibraltarska”. Ciekawi znajdują ich opis, o ile mnie pamięć nie myli, w numerze z dnia 4-go stycznia 1874 r. Przez wzgląd jednak na tych, którzy nie mogą odnieść się do wspomnianej gazety, przytaczam kilka urywków, które najlepiej charakteryzują zagadkowość wypadku.

— Zwiedziłem osobiście — pisze anonimowy sprawozdawca w „Gazecie” — opuszczoną „Maryę Celestynę” i zasięgnąłem drobniawych informacji u oficerów na „Dei Gratia”, co do każdego szczegółu, któryby mógł rzucić jakieś światło na tę zagadkową sprawę. Są oni zdania, że brygantyna opuszczoną została na szereg dni lub nawet tygodni przed czasem, kiedy ją napotkano. Księga okrętowa, znaleziona w kabinie, stwierdza, że statek płynął z Bostonu do Lizbony, a podróż rozpoczął 16 go października. Jest ona jednak prowadzoną bardzo niedokładnie i mało rzeczy tłumaczy. Nie ma w niej wzmianki o złej pogodzie i w istocie zewnętrzny wygląd statku, stan jego lin i żagli, wyklucza opuszczenie go dla tych powodów. Jest nieuszkodzony. Nie wykryto żadnych śladów walki lub gwałtu, nie ma absolutnie niczego, coby tłumaczyło zniknięcie załogi. Są pewne dane, dowodzące obecności na statku kobiety, znaleziono bowiem w kabinie maszynę do szycia i kilka szczegółów kobiecej garderoby. Należały one, zdaje się, do zony kapitana, o której jest wzmianka w księdze okrętowej jako o towarzyszącej w podróży małżonkowi. Dowodem spokojności wód może być taki, że znaleziono na maszynie kłębek jedwabiu, któryby bezwarunkowo straciło na ziemi każde większe przechylenie się statku. Łodzie były nieknięte i umocowane na jucie, ładunek, składający się z łoża i amerykańskich zegarków, nienaruszony. Na przodzie statku znaleziono staroświecki miecz, dziwnej roboty, który wnosząc z podłużnych kres na klindze, musiał być niedawno ostrzony. Przesłano go policji i poddano oględzinom chemika dra Monaghana. Rezultatu tych oględzin dotąd nie ogłoszono. Mogę dodać na zakończenie, że według zdania dowódcy „Dei Gratia” Daliona, zdolnego i bystrego żeglarza, „Marja Celestyna” opuszczoną została w znacznej odległości od miejsca znalezienia, gdyż w tej szerokości geograficznej biegnie od wybrzeża Afryki potężny prąd wód. Przyznaje on jednak, że nie czuje się na siłach do postawienia jakiegokolwiek hipotezy, któraby tłumaczyła wszystkie szczegóły wypadku. Wobec zupełnego braku jakiegokolwiek punktu oparcia, trzeba się lękać, że los załogi „Marji Celestyny” pozostanie jedną z tych rozlicznych tajemnic głębinowych, których rozwiązania doczekamy się dopiero w dniu Sądu Ostatecznego, na który morze dostawić musi wszystkich swych umarłych. Jeśli popełniono zbrodnię, jak z wielu względów należy podejrzewać, miała jest nadzieja, aby winni dostali się w ręce sprawiedliwości.

Pragnę przytoczyć urywek z „Gazety Gibraltarskiej” i uzupełnić go cytatem telegramu z Bostonu, który obiegił wszystkie angielskie pisma i podał całokształt informacji, jakie zostały zebrane o „Marji Celestynie”. „Była to — jak donosił telegram — brygantyna o pojemności 170 beczek, własność miejscowych handlarzy wina, White & Russel. Dowódca jej kapitan J. W. Tibbs był starym urzędnikiem firmy i ze względu na swe zdolności i wypróbowaną wielokrotnie uczciwość, cenionym przez wszystkich żeglarzem. W podróży towarzyszyła mu żona, w wieku 31 lat i ich najmłodsze pięcioletnie dziecko. Załoga składała się z siedmiu ludzi, licząc w to dwóch kolorowych marynarzy

i jednego chłopca. Na pokładzie było trzech pasażerów, w ich liczbie znany brookliński specjalista chorób płucnych, dr. Habakuk Jephson, zażarty obrońca sprawy zniesienia niewolnictwa w pierwszych dniach ujawnienia się tej idei, którego broszura p. t. „Gdzie brat twój?” wywarła wielki wpływ na szerokie masy przed wojną. Innymi pasażerami byli Mr. J. Harton, urzędnik firmy i Mr. Septimius Goring, młoda z Nowego Orleanu. Wszelkie poszukiwania, mające na celu rzucić jakiekolwiek światło na los tych czternastu osób, zawiodły. Strata dra Jephsona da się odczuć w sferach tak politycznych, jak i naukowych”.

Podaję tu dla użytku publiczności wszystkie szczegóły zebrane w sprawie „Marji Celestyny” i jej załogi aż do dzisiejszego dnia, bo i ubiegłe dziesięć lat w żadnym stopniu nie przyczyniły się do wyjaśnienia tajemnicy. Chwytałem dziś za pióro, mając zamiar zakomunikowania wszystkiego, co wiem o tej nieszczęsnej podróży. Sądzę, że jest to mój obowiązek wobec społeczeństwa, rozliczne bowiem symptomy, z którymi dobrze jestem obznajomiony, każą mi wierzyć, że przed upływem kilku miesięcy język mój i ręka będą zarówno niezdolne do złożenia jakiegokolwiek informacji. Zaznaczam na początku niniejszego opowiadania, że jestem Józefem Habakukiem Jephsonem, doktorem medycyny Uniwersytetu w Harvardzie i byłym ordynatorem Szpitala Powszechnego w Brooklynie.

Wielu zaiste dziwić się będzie, czemu dotąd nie dałem o sobie znaku życia i czemu słuchałem milcząc tylu hipotez i kombinacji. Gdybym w jakikolwiek sposób mógł przyjąć z pomocą sprawiedliwości przez ujawnienie faktów, o których wiem, uczyniłbym to bez wahania. Miałem jednak wrażenie, że byłoby to zupełnie bezcelowe; kiedy zaś już po wszystkim, próbowałem złożyć zeznanie w pewnym angielskim urzędzie, spotkałem się z taką obrażającą nieufnością, że postanowiłem nigdy już nie narażać się na podobne traktowanie. Można sobie jednak łatwo wytłumaczyć niegrzeczność liverpoolskiego urzędnika, skoro się wspomni, jak do całej tej sprawy odnieśli się własni moi krewni którzy, aczkolwiek znali nieskazitelny mój charakter, przysłuchiwali się memu opowiadaniu z pobłażliwym uśmiechem, jakby szydząc z urojeń monomaniaka. To podanie w wątpliwość mej prawdomówności stało się powodem sprzeczki między mną i Janem Vanburgerem, bratem mej żony i uwierdziło mnie w postanowieniu pozostawienia rzeczy samej sobie — postanowieniu, które zmieniłem dopiero na prośby syna. Chcąc opowiadanie moje uczynić bardziej zrozumiałe, napomknąć muszę o dwu wydarzeniach z mego ubiegłego życia, które rzucają światło na poniżej opisane wypadki.

Ojciec mój William K. Jephson był kaznodzieją sekty i.z.w. „Braci z Plymouth” i jednym z najpoważniejszych obywateli Lowellu. Na równi z większością Purytanów z Nowej Anglii był zdecydowanym przeciwnikiem niewolnictwa i z jego to ust czerpałem te zasady, które stały się nierozdzielalną częścią mej istoty. Podczas moich studiów na uniwersytecie harwardzkim dałem się już poznać jako gorący zwolennik zniesienia niewolnictwa, a kiedy po uzyskaniu dyplomu odkupiłem третią część praktyki od doktora Willisa z Brooklynu, mogłem mimo moich zawodowych zajęć poświęcić sporo czasu sprawie, która mi leżała na sercu, zwłaszcza, że broszura „Gdzie Twój brat?” (Swarburgh, Lister & Co., 1859) zwróciła na mnie uwagę ogółu. Kiedy wybuchła wojna, opuściłem Brooklyn i dzieliłem w ciągu całej kampanii losy z 113 pułkiem nowojorskim. Uczestniczyłem w drugiej bitwie pod Bull's Run i pod Gettysburgiem. W końcu rannony zostałem kilkakrotnie pod Antietamem i zginąłbym marnie na polu bitwy, gdyby nie uczynność niejakiego Murraya, który zaniósł mnie do swego domu i dbał tam z całą troskliwością o wszelkie me wygodę. Dzięki jego opiece i dzięki pielęgnacji czarnych jego udomowników, byłem niebawem w stanie spacerować po plantacji przy pomocy kija. W czasie tego okresu rekonwalescencji zdarzył się wypadek, który ma ścisły związek z mem opowiadaniem.

Pomiędzy murzynkami, które gorliwie krzątały się wokół mego łóża podczas choroby, zauważyłem starą kobietę, do której jak mi się zdawało reszta odnosi się z pewnym szacunkiem. Pielęgnowała mnie ona pieczołowicie, a z kilku

słów, któreśmy zamienili wynioskowałem, że musiała słyszeć o mnie i że starała się okazać mi wdzięczność za obronę praw jej uciskanej rasy.

Pewnego dnia, kiedy samotny siedziałem na werandzie, wygrzewając się na słońcu i prze-mysliwając nad sposobem powrotu do armii generała Granta, ujrzałem ze zdziwieniem, że stare to stworzenie podchodzi do mnie. Rozglądając się ostrożnie dla sprawdzenia, czy jesteśmy sami, sięgnęła w zanadrze i wydobyła mały worek z giemzowej skóry, który wisiał na jej szyi na białym sznurku.

— Massa — rzekła schylając się i szeptać mi te słowa do ucha — ja umrzeć wkrótce. Ja stara kobieta. Ja nie być już długo na plantacji Massy Murraya,

— Możecie jeszcze długo żyć, Mario — odrzekłem. — Wiecie, że jestem doktorem. Jeśli czujecie się słabą, powiedzcie, co wam brakuje, a spróbuję Was wyleczyć.

— Ja nie chcę żyć — chcę umrzeć. Ja chcę już wstąpić do nieba. — Tu wygłosiła jedną z tych półpogańskich rapsodji, którym murzyni tak chętnie holdują. — Lecz ja muszę zostawić jedną rzecz, Massa. Nie mogę brać jej ze sobą przez Jordan. Ta rzecz być bardzo kosztowna, więcej kosztowna i święta niż wszystko inne na ziemi. Ja biedna stara murzynka mieć to, bo należeć do wielkiego narodu tam w starym świecie. Lecz Wy nie rozumieć tego jak czarni. Mój ojciec dał mi to i jego ojciec dał to jemu, lecz dziś komu ja to mam oddać? Biedna Marta nie mieć dzieci, ani krewnych, nikogo. Czarne kobiety głupie. Żadna nie warta kamienia. A tu jest Massa Jephson, co pisze książki i walczy za czarny lud — on być dobra człowiek i on go otrzymać, chociaż biały, a nikt nie wie, co on znaczyć i skąd go mieć. — Tu starszka zaczęła szukać w skórzanym worku i wydobyła płaski kamień z otworami w środku. — Oto to jest, weź go, — rzekła, wciskając mi go w rękę — weź go. Nigdy nieszczęście nie może przyjsz z dobrego. Pilnuj go — nie zgub nigdy! — i z ostrzegającym gestem zniknęła stara w ten sam tajemniczy sposób, jak przyszła, oglądając się na boki, czy nas kto nie podpatruje.

Powaga starej kobiety więcej mnie ubawiła, jak przekonała i musiałem się siłą powstrzymać od śmiechu w ciągu jej przemowy, nie chcąc obrazić jej uczuć. Kiedy odeszła obejrzałem kamień. Był cały czarny, nadzwyczaj twardy, kształtu owalnego — taki sobie płaski kamień, jaki znaleźć można nad brzegiem morza i jaki służy do puszczenia „kaczek”. Miał około trzy cale długości, półtora cala szerokości w środku i zaokrąglony był na końcach. Najciekawszą jego cechą były liczne, dobrze się zaznaczające bruzdy, które przebiegały półkolistnie na jego powierzchni i nadawały mu podobieństwo do ludzkiego ucha. Byłem zaintrygowany moim nowym nabytkiem i zdecydowałem się ofiarować go przy najbliższej sposobności jako interesujący okaz geologiczny przyjacielowi memu, profesorowi Schroederowi z Nowego Yorku. Tymczasem włożyłem go do kieszeni i powstawszy z krzesła wyszedłem na krótki spacer po plantacji, zapominając o całym wypadku.

Wkrótce potem, ponieważ w międzyczasie rana moja wygoiła się prawie w zupełności, pożegnałem Mr. Murraya. Armie północy zwyciężały na wszystkich frontach, zwracając się na Richmond tak, że osoba moja wydała mi się tam niepotrzebną i zdecydowałem się na powrót do Brooklynu. Zaczęłem tam znowu praktykować i ożeniłem się z młodszą córką Josiaha Vanburgera, znanego drzeworytnika. W przeciągu kilku lat wyrobiłem sobie stosunki i zyskałem duże poważanie w dziedzinie chorób płucnych. Stary, czarny kamień nosiłem wciąż przy sobie i często opowiadałem w jak niezwykły sposób stałem się jego właścicielem. Dotrzymałem też obietnicy pokazania go profesorowi Schroederowi, który był bardzo zaciekawiony zarówno opowiadaniem, jak i samym kamieniem. Orzekł, że jest to kawałek meteorytu i zwrócił moją uwagę na fakt, że podobieństwo jego z uchem nie było przypadkowe, lecz że kształt ten nadano mu przez troskliwe obrobienie. Szereg drobnych anatomicznych szczegółów dowodził, że rzeźbiarz był równie sumiennym, jak zręcznym.

— Nie dziwiłbym się wcale — mówił profesor — gdyby był odlamkiem jakiejś większej figury, aczkolwiek trudno wprost zrozumieć, jak